003 Nazwisko JEZIOR Imiona Eugeniusz lat życia .....

004 Pseudonim .....

006 z domu ..... Rodzice .....

008 Data urodzenia ..... Miejscowość .....

010 Data śmierci [1999] Miejscowość .....

012 Pogrzeb/Spopielenie ..... Adres Cmentarza .....

..... Nr. grobu .....

026 Źródła: ..... Nekrolog Tydzień Polski 4,5,02

Ankieta .....

Lista Stowarzyszenia .....

Grodziska .....

Suchecitz .....

Inne .....

Polak w Brandsen

JOANNA OTTEA

Dla dobra Ojczyzny dokonuje się wiele dobrych, wspaniałych, heroicznych czynów. Powstają dzieła małe i duże, za które nagradza się. Niektórym wystawia się pomniki. A bywa i tak, że pod osłoną pięknego słowa „Ojczyzna", dla miłości własnej, postępuje się w taki sposób, lub głosi się takie hasła, które budzą antagonizmy, powodują rozdźwięki i podziały, i bardziej szkodzą, niż pomagają. Najwięcej dobrego robią ci liczni, którzy uczciwie wykonują swoje obowiązki i, w sposób na jaki kogo stać, starają się być użyteczni dla bliźnich, gdziekolwiek im żyć wypada.

Jednym z ludzi skromnych, nieznanych, żyjących przez długie lata w oddaleniu od Polski, a wiernych swojej Ojczyźnie, był pan Eugeniusz Jezior, który w 1937 roku przywędrował do Argentyny wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci.

Potem przybyło im jeszcze dwoje. Mieli dwóch synów i dwie córki. Początkowo osiedlili się wraz z grupą Polaków w najbardziej na północ wysuniętej prowincji Misiones.

O swoim życiu pisał pan Eugeniusz obszernie w listach, a lubił i umiał pisać, choć miał wykształcenie techniczne. Spotkałam go osobiście

niej pan Eugeniusz pracował w swoim zawodzie.

Żonę pan Eugeniusz stracił, gdy najstarsze z dzieci miało lat czternaście, a najmłodsze osiem. Sam je potem wychowywał i dbał, aby umiały mówić po polsku.

Ze względu na dzieci kupił trzyhektarową posiadłość na przedmieściu dwunastotysięcznego miasteczka Brandsen, oddalonego około 60 kilometrów od Buenos Aires. Nazwał ją „Zacisze". Zasadził tam drzewa i krzewy, uprawiał ziemię i hodował zwierzęta.

Wprowadzono kiedyś w Argentynie, na pewien czas, ustawę, która pozwalała na przejście na emeryturę po dwudziestu latach pracy. Skorzystał z niej pan Eugeniusz – rozstał się z pracą zawodową i został emerytem w stosunkowo młodym wieku. Miał potem więcej czasu na zajmowanie się gospodarstwem, a do swojego skromnego, miesięcznego dochodu, mógł dorobić dzięki sprzedaży wyprodukowanych plonów. Nie miał auta i nie stać go było na podróż do Polski, którą pragnął odwiedzić.

Dzieci dorosły, wyszły z domu i założyły swoje rodziny. Odwiedzały go, przyjeżdżały też i wnuki, ale rzadko. Z biegiem lat siły słabły i coraz mniej miał kontaktów z Polaka-

Jego domek, ukryty wśród drzew i krzewów, otoczony był kwiatami. Jedynie lekki szum wiatru i śpiewy ptaków mąciły panującą tam ciszę. Zastaliśmy pana Jeziora w ogrodzie.

– Mieszkasz tu jak król – powiedział Oswald.

– Jak król opuszczony – odrzekł z nieco smutnym uśmiechem, ale wyraźnie zadowolony z naszej wizyty.

W owym czasie miał problemy ze zdrowiem. Przez ostatnie kilka miesięcy nic nie robił w ogrodzie. Nie miał sił. Chorował. Czuł się bardzo osamotniony. Niedawno zginął mu nawet pies, do którego był przywiązany.

Mimo zaniedbania, ogród wyglądał ładnie i okazale. Przy domu rosły piękne róże.

Nasza pierwsza wizyta nie trwała długo. Zanim odjechaliśmy, urwał nam gospodarz, z krzewu cytrusowego, owoców o nazwie Kinoto. Mają one kształt i wielkość niewielkich śliwek, a skórkę oraz środek koloru pomarańczy. Można je jeść w całości, bo najsmaczniejsza jest skórka. Aromatyczna i słodka. Środek mocno kwaśny. Niektórzy odrzucają go i spożywają samą skórkę. Mnie smakowały w całości.

Potem parę razy jeszcze odwiedziliśmy pana Eugeniusza. Przyjmo-



Pan Eugeniusz Jezior w dniu odsłonięcia pomnika, 20.10.1974 r.

ście. Miasto męczyło go, nawet jeśli na krótko tam pojechał. W ciągu wielu lat przyzwyczaił się do swobody, zieleni i otwartej przestrzeni.

Pokazywał nam rodzinne fotografie. Ze szczególną dumą opowiadał o jednej ze swoich wnuczek, która ładnie mówiła po polsku. Nikt z jego rodziny w Polsce nie był. Tylko bardzo zamożni mogli pozwolić sobie na podróże do Europy. On sam wiedział teraz, że do Polski nigdy już nie pojedzie. Nawet, gdyby cudem zdobył jakieś pieniądze. Za słabe zdrowie.

Przed kilku laty zapragnął, aby tu gdzie żyje, mieć coś polskiego. Chciał pozostawić po sobie jakąś pamiątkę. Postarał się zatem, aby jedna z ulic na przedmieściach Brandsen, nosiła nazwę Mikołaja Kopernika. W jej pobliżu, własnym wysiłkiem i

się, siły słabły i lekarze nie byli w stanie mu pomóc. Odwiedzała go w szpitalu starsza pani, Argentynka, wraz ze swoją kuzynką, która miała wtedy 30 lat. Potem przychodziła czasem tylko ta młodsza. Rozmawiali i – postanowili się pobrać.

Opuścił szpital i ożenił się. Ich ślub odbył się w kościele. Pan Eugeniusz nie zatracił bowiem wiary, którą wyniósł z rodzinnego domu. Wkrótce potem, ku zdziwieniu lekarzy, wyzdrowiał i wróciły mu siły. Zaczął zajmować się ogrodem i domem. Robił przetwory owocowe i czasem nawet gotował, ponieważ był sprawniejszy w tej dziedzinie, niż jego młoda żona.

Po roku urodził się im pierwszy syn – Rysio. Potem drugi – Krzysio. W listach z tego okresu pisał, że czas

słowa „Ojczyzna", dla miłości własnej, postępuje się w taki sposób, lub głosi się takie hasła, które budzą antagonizmy, powodują rozdźwięki i podziały, i bardziej szkodzą, niż pomagają. Najwięcej dobrego robią ci liczni, którzy uczciwie wykonują swoje obowiązki i, w sposób na jaki kogo stać, starają się być użyteczni dla bliźnich, gdziekolwiek im żyć wypada.

Jednym z ludzi skromnych, nieznanych, żyjących przez długie lata w oddaleniu od Polski, a wiernych swojej Ojczyźnie, był pan Eugeniusz Jezior, który w 1937 roku przywędrował do Argentyny wraz z żoną i dwojgiem małych dzieci.

Potem przybyło im jeszcze dwoje. Mieli dwóch synów i dwie córki. Początkowo osiedlili się wraz z grupą Polaków w najbardziej na północ wysuniętej prowincji Misiones.

O swoim życiu pisał pan Eugeniusz obszernie w listach, a lubił i umiał pisać, choć miał wykształcenie techniczne. Spotkałam go osobiście w czasie mego pobytu w Argentynie w 1981 roku. Miał wtedy 68 lat.

Opowiadał o pierwszych wrażeniach po przybyciu do Południowej Ameryki, o bezpośrednim zetknięciu się z tym, o czym czytał w szkolnych podręcznikach i książkach podróżniczych. Niebotyczne drzewa w prowincji Misiones, nieprzebyte gąszcza, gady, niezliczone gatunki robactwa, bogata fauna i flora – wszystko to wyglądało pięknie, ale jakoś strasznie. Gdy słońce stanęło u zenitu i rozgrzało powietrze do 40 stopni Celsjusza, ziemia koloru cegły oślepiała oczy, jak w Polsce śnieg w mroźny, pogodny dzień. Miał ochotę uciekać, ale odradzono mu. Powoli przyzwyczaił się i na pewien okres tam pozostał. Pracował i uczył dzieci emigrantów języka polskiego.

Potem przyjechał w okolice Buenos Aires. Początki mieli trudne, ale oboje z żoną pracowali i stopniowo urządzali się. Przez jakiś czas prowadzili małą kawiarenkę. Później ze względu na dzieci kupili hektarową posiadłość na przedmieściu dwunastotysięcznego miasteczka Brandsen, oddalonego około 60 kilometrów od Buenos Aires. Nazwał ją „Zacisze". Zasadził tam drzewa i krzewy, uprawiał ziemię i hodował zwierzęta.

Wprowadzono kiedyś w Argentynie, na pewien czas, ustawę, która pozwalała na przejście na emeryturę po dwudziestu latach pracy. Skorzystał z niej pan Eugeniusz – rozstał się z pracą zawodową i został emerytem w stosunkowo młodym wieku. Miał potem więcej czasu na zajmowanie się gospodarstwem, a do swojego skromnego, miesięcznego dochodu, mógł dorobić dzięki sprzedaży wyprodukowanych plonów. Nie miał auta i nie stać go było na podróż do Polski, którą pragnął odwiedzić.

Dzieci dorosły, wyszły z domu i założyły swoje rodziny. Odwiedzały go, przyjeżdżały też i wnuki, ale rzadko. Z biegiem lat siły słabły i coraz mniej miał kontaktów z Polakami, żyjącymi w oddaleniu.

W swoim argentyńskim otoczeniu znany był jako Eugenio. Samotność stawała się dla niego coraz bardziej dokuczliwa. Gdy odchował dzieci, zamierzał się ożenić. Odpowiednią Argentynkę pewnie by znalazł, ale chciał koniecznie z Polką. Poznał parę pań. Korespondował nawet z jedną z Polski przez parę lat, ale nie powiodło się.

Pewnego dnia, wraz z moim kuzynem Oswaldem odwiedziliśmy pana Eugeniusza. Do jego posiadłości prowadziła polna droga, na którą skręcało się z szosy poza miastem. Przy bramie wjazdowej, od wewnątrz, znajdowały się dwie tablice. Jedna wyższa, oznajmiała nazwę posiadłości „Zacisze", wypisaną w języku hiszpańskim i polskim. Druga zachęcała do kupna: „Tratar aqui. Se vende". Jakkolwiek napis nie wskazywał, co było do sprzedania, łatwo domyśleć się, że można tam było nabyć owoce i warzywa.

nieco smutnym uśmiechem, ale wyraźnie zadowolony z naszej wizyty.

W owym czasie miał problemy ze zdrowiem. Przez ostatnie kilka miesięcy nic nie robił w ogrodzie. Nie miał sił. Chorował. Czuł się bardzo osamotniony. Niedawno zginął mu nawet pies, do którego był przywiązany.

Mimo zaniedbania, ogród wyglądał ładnie i okazale. Przy domu rosły piękne róże.

Nasza pierwsza wizyta nie trwała długo. Zanim odjechaliśmy, urwał nam gospodarz, z krzewu cytrusowego, owoców o nazwie Kinoto. Mają one kształt i wielkość niewielkich śliwek, a skórkę oraz środek koloru pomarańczy. Można je jeść w całości, bo najsmaczniejsza jest skórka. Aromatyczna i słodka. Środek mocno kwaśny. Niektórzy odrzucają go i spożywają samą skórkę. Mnie smakowały w całości.

Potem parę razy jeszcze odwiedziliśmy pana Eugeniusza. Przyjmował nas herbatą i ciasteczkami. Siadaliśmy zwykle przy stole w pobliżu drzwi, które zostawiał szeroko otwarte. Niewielki flakonik ze świeżo ściętymi kwiatkami, ustawiony na obrusie, akcentował staranność o miłe przyjęcie gości.

Był to okres, w którym myślał już tylko o tym, aby sprzedać „Zacisze", mimo, że do swojej posiadłości bardzo był przywiązany. Rozsądek nakazywał, aby za pieniądze uzyskane ze sprzedaży, dobudować pokój dla siebie przy domu córki i tam spędzić resztę życia. W razie choroby nie byłby sam i miałby opiekę, chociaż nie nęciła go perspektywa dzielenia mieszkania z rodziną, ograniczania się do jednego pokoju i życia w mieście. Miasto męczyło go, nawet jeśli na krótko tam pojechał. W ciągu wielu lat przyzwyczaił się do swobody, zieleni i otwartej przestrzeni.



Pan Eugeniusz Jezior w dniu odsłonięcia pomnika, 20.10.1974 r.

Pokazywał nam rodzinne fotografie. Ze szczególną dumą opowiadał o jednej ze swoich wnuczek, która ładnie mówiła po polsku. Nikt z jego rodziny w Polsce nie był. Tylko bardzo zamożni mogli pozwolić sobie na podróże do Europy. On sam wiedział teraz, że do Polski nigdy już nie pojedzie. Nawet, gdyby cudem zdobył jakieś pieniądze. Za słabe zdrowie.

Przed kilku laty zapragnął, aby tu gdzie żyje, mieć coś polskiego. Chciał pozostawić po sobie jakąś pamiątkę. Postarał się zatem, aby jedna z ulic na przedmieściach Brandsen, nosiła nazwę Mikołaja Kopernika. W jej pobliżu, własnym wysiłkiem i staraniem, wystawił pomnik z wmurowaną tablicą ku czci wielkiego polskiego astronoma.

Podkreślał, że pomniczek jest niewielki, ponieważ na coś okazalszego nie było go stać. Jeśli jednak weźmie się pod uwagę okoliczności oraz możliwości tego bardzo skromnie żyjącego emeryta, przyznać trzeba, że był to z jego strony gest niewątpliwie szczodry, wzruszający i godny uznania.

Podarował mi zdjęcie z dnia odsłonięcia pomnika, które miało miejsce w dniu 20 października 1974 roku.

Dziś już pan Jezior nie żyje, ale na ostatnie 18 lat, los zgotował mu niespodziankę. Miał 69 lat, gdy znalazł się w szpitalu. Zdrowie pogarszało się, siły słabły i lekarze nie byli w stanie mu pomóc. Odwiedzała go w szpitalu starsza pani, Argentynka, wraz ze swoją kuzynką, która miała wtedy 30 lat. Potem przychodziła czasem tylko ta młodsza. Rozmawiali i – postanowili się pobrać.

Opuścił szpital i ożenił się. Ich ślub odbył się w kościele. Pan Eugeniusz nie zatracił bowiem wiary, którą wyniósł z rodzinnego domu. Wkrótce potem, ku zdziwieniu lekarzy, wyzdrowiał i wróciły mu siły. Zaczął zajmować się ogrodem i domem. Robił przetwory owocowe i czasem nawet gotował, ponieważ był sprawniejszy w tej dziedzinie, niż jego młoda żona.

Po roku urodził się im pierwszy syn – Rysio. Potem drugi – Krzysio. W listach z tego okresu pisał, że czas jak gdyby zatrzymał się dla niego. Czuł się dobrze i pracował, jak za dawnych lat.

Synkowi śpiewał do snu polskie piosenki, a gdy dziecko podrosło, śpiewali razem, bo chłopczyk lubił śpiewać. Nie było jednak łatwo, tym razem, obu chłopców nauczyć dobrze mowy polskiej.

Jego starszy syn Rysio był już dorastającym młodzieńcem, gdy pan Eugeniusz Jezior odszedł z tego świata. O jego śmierci zawiadomiła mnie córka, w liście napisanym po polsku, w 1999 roku.

Niewielki pomniczek Mikołaja Kopernika na przedmieściach Brandsen przypomina, że tam był i żył Polak.